



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z ŻYCIA OWADÓW.

NOWA ZDOBYCZ PRZEMYSŁU.

M

rozy ustały już przecież i wszystko budzi się do życia. Przez całą zimę nie widzieliśmy owadów na Bożym świecie, możnaby sądzić, że to mrowie, którego latem wszędzie pełno, wyginęło do szczytu. Ale ba! niech tylko słońko przygrzeje troszeczkę, śniegi stopnieją, a wnet z tysiącznych kryjówek zaczynają wylatywać muchy i muszki, motyle, żuki, a liszek co niemiara zewsząd wylazi. Wszystko to spoczywało snem zimowym, przebyło ten cały czas w zupełnym odrętwieniu,

O zwyczajnych przemianach owadów czytelnicy nasi pewnie już tyle razy słyszeli i czytali, że przedmiot ten przestał być dla nich ciekawy, nie mamy też zamiaru powtarzać rzeczy tak powszechnie znanych. Lecz owadów jest na świecie tak wiele, tak nieskończenie wiele, że z pewnością i uczony entomolog, to jest człowiek, poświęcający się wyłącznie badaniu tych drobnych istot, nie może w żaden sposób zapoznać się dokładnie ze wszystkimi gatunkami. Jeżeli wśród zwierząt ssących, wśród ptaków, panuje wielka różnorodność, to cóż powiedzieć o owadach? Przyrodnik Brehm twierdzi, że znanych do dziś gatunków liczyć można przeszło milion! W głowie się męci na samą myśl o takim mnóstwie, a czyż jest sposób choćby nazwy tego wszystkiego spamiętać?

Tymczasem ten świat maluczkich, bo owady, nawet olbrzymy tego rodzaju, zawsze w porównaniu do innych zwierząt są małe, otóż ten światek much, żuków, komarów, światek ru. chliwy niezmiernie, latający, biegający, brzęczący, przedstawia dużo nadzwyczaj ciekawych zjawisk. Owady nie mają w swoich łebkach takiego mózgu, jak zwierzęta kręgowce, a przywykliśmy sobie wyobrażać, że roztropność wszelka w mózgu się mieści. Jednakże malutka muszka często więcej daleko okazuje roztropności i dowcipu od ogromnego słonia. Instynkt owadów jest prawdziwie zadziwiający. Wszak znacie zapewne, powierzchownie przynajmniej, obyczaje pszczoł i mrówek, wiecie, jak to one wybornie się rządzą w swoich rzeczachpospolitych. Moglibyśmy wam i o tych mrówkach, i o pszczołach, tak powszechnie znanych, opowiedzieć niemało szczegółów ciekawych, o których może wyobrażenia nie macie,

a w tym stanie mogło się obejść bez żywności, o którą trudno w zimie po lasach i łąkach. Dużo wprowadzie owadów, jak motyle na przykład, ginie po krótkim letnim życiu, zostawiając tylko jajka, w bezpiecznym i troskliwie wybranym miejscu złożone, lecz mnóstwo innych przesypia chłodną porę.

gdyż uczeni coraz nowe cuda wykrywają w ulach i mrowiskach, lecz dziś opowiadać wam będziemy o owadach innego rodzaju, z których w ostatnich czasach powstał nowy przemysł.

W pośród niezliczonego mrowia owadów niewiele jest gatunków pożytecznych dla człowieka, na palcach policzyć je można: pszczoły, jedwabniki i niektóre inne, wynagradzają nam szkody, wyrządzane przez większość owadów. Paręset lat temu wielkie w kraju naszym przynosił korzyści drobny owadek, zwany czerwcem, a w terminologii naukowej *coccus polonicus*, żyjący na korzonkach rośliny, która także też samą nazwę czerwca nosi. Owadek ten daje piękną czerwoną farbę, dawniej ta farba polska w całej Europie była bardzo poszukiwana, stanowiła też ważny przedmiot handlu w kraju naszym, gdzie roślina czerwec obficie rośnie na piaszczystych gruntach. Lecz czerwec polski utracił swoje znaczenie i poszedł w poniewierkę, gdy pojawił się amerykański jego krewniak, czerwec koszenilowy, który żyje na kaktusach pewnego gatunku w Meksyku, a i w rozmaitych koloniach zwrotnikowych hodowany bywa. Możecie sobie wyobrazić, jakie niesłychane ilości tych drobnych stworzeń mordują ludzi dla owęj pięknej, purpurowej farby, skoro na funt jeden idzie około siedmdziesięciu tysięcy ususzonych owadków. A trzeba wiedzieć, że same tylko samice padają tu ofiarą, samiec czerwec jest całkiem do samicy niepodobny, o czém dokładniej opowiemy niżej.

W Europie południowej, zwłaszcza w Grecyi, żyje na dębach kermesowych czerwec tegoż nazwiska, który dostarcza także farby czerwonej, kermesem lub alkermesem zwanęj. W Indjach wschodnich inny gatunek, czerwec szelakowy, przebywa na drzewach figowych, wydaje klej, znany w handlu pod nazwą szelaku. Widzicie, że ród czerwców może być z całą słusnością policzony do rzędu owadów pożytecznych. Lecz wszystkie te dawniejsze gatunki przejdzie podobno inny, na który dotychczas mało bardzo zwracano uwagi.

Ojczyzną jego jest także Meksyk, a sądząc z opisów świeżo podanych w pismach przyrodniczych, czerwec ten, aksynowy zwany, *coccus axin*, może być do olbrzymów pomiędzy braćmi swoimi zaliczony. Gdy koszenila wygląda jak drobne ziarnko soczewicy, czerwec aksynowy dochodzi długości 19, 25, a jak niektórzy utrzymują niekiedy nawet 30 milimetrów, czyli 3 centymetrów. Rozmiary te stosują się tylko do samicy, samiec zawsze w każdym gatunku jest znacznie mniejszy i inaczej wygląda. Samica ma właściwie barwę czerwoną, korallową, lecz tonie cała w miękkiej, białej, woskowej powłoce, którą z siebie sączy. I otóż to właśnie ta masa biała okazała się produktem niezmiernie szacownym i wkrótce, jak przepowiadają, stanie się przedmiotem ogromnego handlu w całym świecie. Jest to bowiem pokost najwyborniejszy, najtrwalszy pod słońcem, wysycha prędko, nie rozpuszcza się wcale w wodzie, więc nie przepuszcza wilgoci, metale chroni od rdzy, na drzewie wygląda, jak najpiękniejsza politura, a przewyższa ją o wiele trwałością.

Krajowcy amerykańscy znali oddawna te cenne własności aksyny, gdyż używali jej do powlekania glinianych naczyń, jako polewy. W Meksyku, jak wiecie zapewne, przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, cywilizacja wysoko była rozwinięta. Z dawnych tych czasów przechowało się dużo zabytków, chociaż europejczycy prawdziwie po barbarzyńsku obchodzili się z tym zawojowanym krajem i niszczyli

wszystko bez miłosierdzia. Pośród szczątków starożytnych budynków meksykańskich zauważono ozdoby drewniane, doskonale dotąd zachowane, chociaż przez paręset lat wystawione były na różne szkodliwe wpływy. Ochronił je jednak pokost zewnętrzny, a pokost ten niczém inném nie jest, tylko aksyną, wyrobem przemysłowych owych owadów. Dziwna rzecz, iż nowożytni mieszkańcy Ameryki teraz dopiero zwrócili uwagę na produkt tak pożyteczny, który jednak od czasów niepamiętnych mieli pod ręką.

Czerwec aksynowy najobficiej się rozmnaża na drzewie z rodziny terpentyńcowatych, zwaném śliwą hiszpańską, albo rozpestlinem, *spondias mombin*, lecz żyje także na innych drzewach zwrotnikowych, wszędzie też w ciepłym klimacie może być z łatwością hodowany. Dziwne są bardzo obyczaje tych owadów. Z jajek, które samica składa u stóp drzewa, wychodzą drobne czerwce, robaczki beznogie, rozkładają się po drzewie, szukając pokarmu. Pomiędzy samcem i samicą już zaraz tak ogromna zachodzi różnica, że możnaby je wziąć za dwa owady odmienne. Samiec zamienia się w pupkę i wylatuje z niej muszką skrzydlatą. Samica nie przechodzi przez stan poczwarki, czyli pupki, powoli się przekształca, wynajduje sobie wygodne miejsce na drzewie, wpija tam mocno swój smoczek, do prostego ostrego dzioba podobny i już się więcej nie rusza. Skrzydeł nie dostaje nigdy. Siedzi tak sobie przez całe życie nieruchoma, okrywa się białym swém futerkiem, aż gdy nadchodzi pora znoszenia jaj, odczepia się od drzewa i zsuwa na ziemię. Tu owija się jedwabistym kokonem, i we wnętrzu téj kryjówki składa niezmiernie mnóstwo jajek około 1500, potem zasypia w swym kokonie i ginie. Zeschłe szczątki matki otulają potomstwo, jakby jeszcze po śmierci czuwać chciała nad niemi i owijała całunem własnego ciała.

Pojmujecie zapewne, że dla otrzymania owęj masy białej, to jest aksyny, życie biednych owadów musi być poświęcone. O samców nikt się nie troszczy, mają skrzydła, więc sobie lecą, niewiele na tém wygrywają, gdyż krótko bardzo żyją. Samice zaś zbierane są na drzewie, póki jeszcze trzymają się na niém. Najpierw obmywają je starannie, dla oczyszczenia z kurzu i wszelkich nieczystości, następnie wrzucają w wodę wrzącą. Masa woskowa wydziela się i wypływa na wierzchołki, świeża jest miękka, tak prawie, jak masło. Oprócz tego szczątki owadów wyciskają starannie po wygotowaniu w workach płóciennych, aby i resztki masy zebrać.

Aksyną używana była oddawna jako maść skuteczna w Ameryce, a nawet i w Europie, lecz ponieważ nie posiada żadnych szczególnych własności leczniczych, więc ją zarzucono po aptekach. Teraz dopiero w przemyśle znakomite miejsce zajmie. Bo też rzeczywiście ogromna to wygodna taki pokost, który służyć może do najrozmaitszych użytków. Ażeby jakikolwiek przedmiot stał się nieprzemakalnym, dość tylko pokryć go powłoką aksynową. Drzewo, metal, glina, papier nawet, takim pokostem zabezpieczyć można od szkodliwych wpływów powietrza i wilgoci. Tkaniny, napuszczone tą substancją, są podobne do ceraty, lecz nie tak sztywne, nie łamią się i nie rozdierają.

Kto wie, czy jeszcze kiedyś wśród téj nieskończonej rozmaitości owadów mniej znanych nie wykryje się więcej takich, które nam pożytek przynieść mogą. Lecz przemysł ten stworzenia nie tylko ze względu na pożytek zajęcie budzą w ludziach, miłujących przyrodę; instynkt ich prawdziwie

cudowny, praca, nieraz olbrzymia, w stosunku do ich małości, sposób życia osobliwy, a zawsze do pewnego celu zastosowany, wszystko to jest widokiem nadzwyczaj ciekawym i pouczającym.

M. J. Z.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez Mayne-Reid'a.

(Dalszy ciąg).

W cieniu tych lasów odwiecznych, gdzie światło dochodziło skąpo, powietrze przesycone było wilgocią, odzienie naszych wędrowców przemokło też do nitki i chłód przejmujący im dokuczał. Panowała tu cisza głęboka, kiedyniekiedy tylko przerywała ją smętna skarga puhacza lub gwizd innego ptaka. Wszystko to przykre niezmiernie wywierało wrażenie na małą gromadkę podróżników i wcale jej nie dodawało energii i ochoty do przyspieszenia kroku. Nawet i Henryk Chester, pomimo wrodzonej swój wesołości, która go prawie nigdy nie opuszczała, uległ ogólnemu przygnębieniu. Wszyscy postępowali powoli i w milczeniu.

Po dwóch lub trzech godzinach tej uciążliwej drogi, wędrowcy, wspinając się coraz wyżej na stoki gór, wydostali się nakoniec z lesistych gąszczów; wysokie drzewa nie rosły już na tych wyżynach, zastępowały je też same prawie gatunki, lecz karłowate i krzewiaste. Zamiast strzelać w górę wyniosłymi wierzchołkami, drzewka te rozrastały się w szerz i wypuszczały w kierunku poziomym niezliczone gałęzie, dochodzące niekiedy dwudziestu stóp długości, podczas gdy pień główny miał zaledwie trzy stopy wysokości. W krzakach rosnących blisko siebie gałęzie te często plątały się w taką gęstwinę, jak to bywa w owych płotkach bukszpanowych, którymi u nas obsadzają rabaty po ogrodach. Tworzył się z tego wał prawdziwy, niepodobny do przebycia.

Droga nie była więc tu wcale wygodniejsza niż w lesie, wędrowcy co chwila walczyć musieli z rozmaitemi przeszkodami, często z wysileniem zaledwie mogli wydobyć nogi, zaplątane w pelzające gałęzie, to znów zatrzymywali się, by oswobodzić odzienie, uczezione do kolczastych krzaków. Nie mogli ująć więcej, jak sto metrów na godzinę.

Na szczęście ten pas karłowatych drzewek nie był zbyt rozległy. Im wyżej wstępowali wędrowcy na grzbiety gór, tym pewniejszy i równiejszy grunt czuli pod stopami. Wkrótce ujrzeni przed sobą przestrzeń pokrytą trawą i niskimi, zielnymi roślinami, dalszy pochód nie przedstawiał już żadnych trudności. Wyszli nakoniec na wierzchołek i tu widok rozległy i wspaniały roztoczył się przed ich oczyma.

We wszystkich kierunkach, na północ i na południe, na wschód i na zachód, gdzie okiem zajrzeć, piętrzyły się góry rozmaitych kształtów i rozmaitych wysokości: jedne stożkowate, inne spłaszczone u szczytu, inne zaokrąglone nakształt kopuły, inne wreszcie podnoszące się pigmatami, w kształcie tarasów. Niektóre wyglądały jak gotyckie dzwonnice, lub wieże olbrzymich fortec. Pośród tego nagromadzenia niezliczonych wyżyn, przewyższając je wszystkie, wznosił się ku niebu ubielony śniegiem wierzchołek góry Darwina, a dalej, na północno-zachód, drugi, prawie równie wysoki, szczyt Sarmiento. Góry te poprzecinane były głębokimi rozpadlinami, z których jedne wścięły naga, dziką skałą, inne porastały bujnym lasem. Prawie wszystkie te kotłiny wyglądały z daleka nakształt smug ciemnych na tle jaśniejszym, dwie lub trzy tylko, mieszczące w sobie lodniki, odcinały się białością olśniewającą od szarych skał i zieleni lasów.

Niektóre z tych rozpadlin, rozdzielających stoki gór wyniosłych, napełnione wodą, łączyły się z morzem, tworząc sieć

kanalów, połączonych pomiędzy sobą w różnych kierunkach. Bo też to są rzeczywiście morskie kanały, ta Ziemia Ognista, którą przez czas długi uważano za część lądu stałego, jest archipelagiem wysp, skupionych gęsto i poroździelanych tylko takimi wązkimi cieśninami. Henryk Chester i towarzysze jego mogli to wszystko widzieć doskonale z wyniosłego stanowiska, na którym się znajdowali. Przyglądali się jednak z największą uwagą cieśninie, przez którą przepływali niedawno łodziami. Wkrótce też spostrzegli, że w dalszym swym ciągu łączyła się z kanałem znacznie szerszym, ciągnącym się na wschód w kierunku prawie prostym. Kanał ten miał wszędzie szerokość jednostajną, wyglądał zupełnie, jakby sztucznie przekopany.

— To kanał Beagle'a! — zawołał Seagriff na ten widok — tam właśnie mieliśmy płynąć, i gdyby nie to nieszczęście, które nas pozbawiło łodzi!...

— Któż wie, czy lepiejbyśmy na tym wyszli, gdybyśmy przebyli kanał Beagle'a? — zapytał Henryk, chcąc starego na słówka wyciągnąć — jakaż pewność, że na tym wybrzeżu znaleźlibyśmy dogodniejsze schronienie?

— Jaka pewność? — mówił cieśla — ta jedna tylko, że z kanału Beagle'a dostalibyśmy się do cieśniny Lemaire'a i odnogi Powodzenia, a tam raz po raz statki wielorybnicze zarzucają kotwice.

— Jeżeli tak — rzekł Henryk z żywością — to plan ten koniecznie wykonać należy. Nie mogąc odbyć morzem tej podróży, puścimy się w drogę lądem, możemy pójść wzdłuż kanału Beagle'a i dostać się tym sposobem na też same wybrzeża.

— Zapewne — odparł Seagriff — tylko że to nie taka łatwa sprawa podróżować lądem w tym kraju; mogłeś się pan sam o tym przekonać w czasie dzisiejszej naszej wędrowki.

— Usilna wola i wytrwałość pokonywają wszystkie trudności — mówił Henryk, wpatrując się ciągle z uwagą w tę panoramę, rozciągającą się, jak mapa geograficzna, u stóp jego.

— Czy mi się zdaje, czy to czółna dzikich płyną w kierunku zachodnim? — odezwał się nagle młodzieniec, pokazując towarzyszowi kilka punkcików białych, ledwo dojrzanych, migających na wód błękitnie.

Stary cieśla milczał przez długą chwilę, patrząc w punkt wskazany i dłonią osłaniając sobie oczy, jakby umbrellką.

— Tak — rzekł — naliczyłem dwadzieścia czółen. Jest to w każdym razie rzecz bardzo niemąla i byłbym nawet niepokojny, gdyby nie to, że ta łotrowska zgraja już dawno minęła miejsce, gdzie nasi obozują, więc widocznie nie spostrzegła ich wcale. Urwisko to wznosi się conajmniej na czterdzieści metrów ponad wodą, może i nie bardzo zaglądali w górę, a Poluks musiał już ogień zagasić o tej porze i dym ich nie zdradził. Tak, tak, z pewnością nic nie spostrzegli!..

Henryk wyjął z kieszeni notesik, niezbyt uszkodzony w czasie powodzi i spoglądając, to w niebo, to na ziemię, zaznaczywszy sobie dobrze w myśli cztery strony świata, zaczął rysować kształty wybrzeża i zakreślił, jak mógł najdokładniej, kierunek kanału Beagle'a, który miał przed oczyma.

Tymczasem towarzysze jego, znużeni uciążliwą wędrowką, odpoczywali, leżąc na trawie lub siedząc na odłamach skał, Henryk ukończył swoją robotę, schował notesik do kieszeni i dał znak, że pora myśleć o powrocie. Wszyscy powstali i mała gromadka puściła się w drogę.

Zejsście z góry było o wiele łatwiejsze niż wejście. Musieli wprawdzie przebywać powtórnie też same przeszkody, też same krzaki cierniste i pnie spróchniałe zagrażały im drogę, a jednak pochód nie był tak nużący. Idąc pod górę, ile razy który się potknął, osuwał się na dół i musiał powtórnie się wspinać na toż samo miejsce. Teraz przeciwnie, padając, każdy toczył się prędzej naprzód i skrócał sobie drogę. Upadki te były tak częste, że nie zważano na nie wcale, oswojono się z niemi, jak z rzeczą zwyczajną, jakby wędrowki na Ziemi Ognistej innym sposobem odbywać się nie mogły.

I tak posuwając się nieustannie w tym osobliwszym pochodzie z przeszkodami, idąc, padając, tocząc się, a niekiedy i przewracając kozły, cała gromadka dotarła nakoniec do wybrzeża, nie doznawszy żadnego większego szwanku, tylko przemoczeni byli wszyscy do nitki, jakby przebyli wpław cieśninę.

Spostrzegli jednak nasi wędrowcy, że zmylili cokolwiek drogę, nie powrócili na toż samo miejsce, gdzie zostawili rano resztę towarzyszy, zboczyli nieco na wschód. Musieli więc teraz przebyć jeszcze pewną przestrzeń, niezbyt wielką, wprawdzie, lecz pełną tych samych przeszkód, które im się już tak dały we znaki. Ponieważ jednak innej rady nie było, wyruszone w dalszą drogę.

Przeciskając się z trudem ogromnym przez las, o jakie sto metrów mniej więcej od urwistej skały, na której pozostał kapitan z żoną i córką, wędrowcy natrafili na małą, odkrytą polankę, widocznie niedawno zamieszkałą przez krajowców. Pośrodku polanki stała chata, a raczej rodzaj namiotu z gałęzi; grunt spuszczał się stąd łagodnym spadkiem aż do małej zatoki, utworzonej przez głęboką rozpadlinę skały. Na samém wybrzeżu, nad wodą, nagromadzony był stos muszel rozłupanych, widocznie resztek spiżarnianych mieszkawców owego ustronia.

Podobne szczątki jedzenia, z niezmiernie dawnych czasów pochodzące, odkryto także w Europie, a ponieważ po raz pierwszy dostrzeżone były na wybrzeżach skandynawskich, więc otrzymały nazwę: *Kodjen-moddings*, co w języku szwedzkim znaczy: szczątki kuchenne. Archeologowie europejscy wielkiem poszanowaniem otaczają te szacowne zabytki zamierzchłej starożytności, czasów przedhistorycznych, jak je nazywają, gdy praojcowie nasi pogrążeni byli w stanie dzikości i barbarzyństwa.

Na Ziemi Ognistej stan ten utrzymuje się dotąd i długo może jeszcze trwać będzie, gdyż nędzni mieszkańcy tej krainy nie okazują żadnej skłonności do przyjęcia cywilizacji.

Henryk Chester nie miał podobno żadnych celów naukowych, oglądając zblizka stos nagromadzonych muszel, prosta ciekawość nim powodowała, gdy włócznią swoją drewnianą zaczął je rozrzucać. Nie marzył też zapewne o żadnych nadzwyczajnych odkryciach, jak to czynią archeologowie, którzy grzebią w przedhistorycznych „szczątkach kuchennych” a jednak odkrył niespodzianie zdobycz bardzo szacowną w dzisiejszym położeniu rozbitków. Była to przepyszna siekierka kamienna, wprawiona w rękojeść drewnianą.

— Siekierka!... — zawołał, podnosząc z tryumfem znaleziony skarb i pokazując go towarzyszom — patrz, Seagriffie, teraz możemy sobie nawet czołno zrobić!... Drzewa tu nam nie zabraknie, a oto narzędzie, wcale nie do pogardzenia!...

— Prawda, czysta prawda, panie Henryku — rzekł stary cieśla, zbliżając się i oglądając zdobycz na wszystkie strony — siekierka, choćby tylko kamienna, ma wartość nieobliczoną dla nas w obecnej chwili!... Czy ja mogłem przeczuć przed miesiącem — mówił dalej pocziwiec — że nam kiedyś przyjdzie skarbów poszukiwać na śmieciisku tych obrzydłych dzikusów?

Rozrzucono dalej stos muszel, w nadziei, że się tam znajdzie jeszcze co pożytecznego, nic jednak nie wydobyto więcej, oprócz igły z rybiej ości, którą Henryk zabrał, chcąc ją ofiarować pani Ganey, i wędrowcy puścili się w dalszą drogę.

Słońce już zachodziło, gdy przybyli nareszcie do małej przystani. Niestety! straszna ich tam czekała niespodzianka: nie zastali już kapitana z rodziną, ani żadnego z majtków, wszyscy znikli; lecz liczne ślady nóg bosych na wybrzeżu świadczyły aż nadto wyraźnie, że to była sprawka dzikich.

XII

Porwanie.

Opowiemy teraz, co się stało w obozie w czasie nieobecności Henryka, Seagriffa i pięciu ich towarzyszy. W parę godzin po odejściu małej gromadki, jeden z majtków, siedzący

na krawędzi urwiska i zajęty sporządzaniem z jakichś włókien roślinnych sieci do łowienia ryb, zerwał się raptem na równe nogi, i zbliżając się żywo do kapitana Ganeya:

— Krajowcy!... — szepnął półgłosem.

W rzeczy samej długie czołno, jedno, potem drugie, trzecie, wreszcie ze dwadzieścia czołen ukazało się na zakręcie cieśniny, zmierzając prosto do małej przystani, w której się rozbiły łodzie naszych żeglarzy. Trudno było jeszcze rozpoznać z daleka, jakiego rodzaju ludzie na tych czołnach siedzieli, lecz ponieważ przybywali ze strony zachodniej, nie ulegało prawie żadnej wątpliwości, że to byli ciż sami dzicy, którzy już raz napadali rozbitków, lub przynajmniej godni ich kamraci z tegoż samego plemienia Elikolepów.

Co tu robić w tak strasznym niebezpieczeństwie? Czy uciekać w głąb lasu, i ukryć się przed bystrym wzrokiem dzikich? Takie pytania zadawał sobie kapitan, a oczywiście ucieczka była jedynym środkiem ratunku dla nich, nie mieli bowiem żadnej broni i w razie napaści nie mogliby stawić najmniejszego oporu.

Lecz z drugiej strony płaskowzgórze, na którym obóz rozbitków był rozłożony, wznosiło się bardzo wysoko ponad morzem i osłaniały je ze wszystkich stron urwiste skały. Można więc było liczyć na to, że dzicy ich nie spostrzegą i dalej sobie popłyną; należało tylko zagasić ogień starannie i zachować się jaknajciszej.

Stało więc na tém, ażeby się nie ruszać z miejsca, kapitan wydał śpiesznie stosowne rozporządzenia. W mgnieniu oka wyrwano tyki, na których był rozpięty namiot pani Ganey i zarzucono je w krzaki. Zasypano ogień popiołem, potem wszyscy pokładli się na ziemi i czekali z bijącym sercem dalszych wypadków.

Wkrótce pierwsze czołna zrównały się z urwiskiem, mogli więc dojrzeć rozbitki, że oprócz mężczyzn, siedziały w nich kobiety z dziećmi, liczne psy, naładowane też były rozmaitemi gospodarskimi sprzętami, jakoto: namiotami ze skór, naczyniami kuchennymi, przyrządami do polowania i rybołówstwa. Prawdopodobnie całe plemię przenosiło się na nowe siedlisko, stosownie do koczowniczych obyczajów tego ludu, opuszczało miejsce, gdzie żywności zabrakło i szukało innej okolicy, obfitującej w ryby lub zwierzyne.

Kapitan śledził bacznie wszystkie poruszenia dzikich, leżąc przy samej krawędzi urwiska, z głową ukrytą wśród gęstych gałęzi rosnącego tam krzaka i wkrótce spostrzegł okoliczność, która go wielce zaniepoila. Wszystkie czołna zatrzymywały się jedno obok drugiego w pobliżu małej zatoki, ustawiały się przystem w półkole, jakby ją otoczyć chciały. Czyżby dzicy wiedzieli o tém, że rozbitki znaleźli tu schronienie, czyżby mieli zamiar trzymać ich w obłężeniu? Kapitan podejrzewał to zrazu, lecz odkrył wkrótce prawdziwą przyczynę tych przygotowań: dzicy chcieli poprostu urządzić wielki połów ryb w zatoce.

Na znak dany przez jednego z nich, zapewne naczelnika wyprawy, wszystkie czołenka poruszyły się znowu i zbliżyły się zwolna do małej zatoki, zawsze tworząc półkole. Jednocześnie paręset psów wskoczyło do wody i płynęło naprzód w tym samym kierunku, szczekając i wyjąc zawzięcie. Ten manewr miał oczywiście na celu przestraszenie ryb i spędzenie ich jaknajwiększej ich ilości w głąb zatoki, wrzynającej się w ład w kształcie podkowy u podstawy urwistej skały.

W rzeczy samej w parę chwil później kapitan Ganey ujrzał, jak krajowcy zapuszczali w wodę sieci i wyciągali je z obfitą zdobyczą. Widok to był niezmiernie ciekawy. Hałas, a zwłaszcza szczekanie psów spłoszyło pelikany i inne ptactwo wodne, które ulatywało w powietrze, podnosząc przeobraźliwe wrzaski. Niektóre śmielsze, nie mogąc się oderwać od ulubionego siedliska, krążyły nisko ponad zatoką, inne rozwinęły skrzydła i znikły w oddaleniu. Ryby, przerażone tą niespodzianą napaścią, uwiły się żywo, a woda była tak przezroczysta, że widać je było doskonale, jakby w akwaryum pokojowym.

W tyle czołen kobiety siedziały z wiosłami, na przedzie stali mężczyźni, zapuszczali w wodę sieci, a raczej worki,

splecione z włókien roślinnych, niektórzy trzymali w rękach włócznie i zręcznie godzili niemi w podpływające największe ryby. Gdy już czółna ustawiły się ściśnionym szeregiem przy samej zatoce, trzymając ją niejako w oblężeniu, rozpoczęła się rzeź prawdziwa. Rybacy co chwila wydobywali z wo-

Rozbitki czekali niecierpliwie ukończenia tych manewrów, w nadziei, że dżicy odpłyną sobie szczęśliwie ze swoją zdobyczą. Inaczej się jednak stało, okazało się bowiem, że naczelnik wyprawy miał ochotę wypocząć po trudach i wysiąść na ląd, ażeby ucztę wyprawić całemu towarzystwu. Postano-



U okienka (str. 126).

dy nową zdobycz, rzucali ją na dno czółen, a dzieci chwytali ryby i mordowały je bez litości.

Osobliwszy ten polów trwał z godzinę, pośród hałasów i wrzasków ogłuszających. Trzy razy czółna odpływały i znów puszczając psy przed sobą, otaczały zatokę ciasnym półkolem. Nakoniec dżicy tyle ryb nałowili, że czółna pełne były prawie po brzegi.

wienie to tak szybko zostało wykonane, że kapitan Ganey zaledwie miał czas wycofać się ze swego niebezpiecznego stanowiska i dać znać o tém, co się działo, towarzyszom ukrytym w pobliskich krzakach. Zapóźno już było na szukanie innego schronienia, lub ucieczkę w głąb lasu. Wiedzieli, iż nie zdołają biec szybko wśród gęstwy drzew, z powodu tysiącznych przeszkód, zresztą szelest suchych gałęzi pod ich sto-

pami zdradziłby ich niezawodnie. Z dwojga złego, lepiej więc już było siedzieć spokojnie wśród krzaków, zachowując się jaknajciszej.

Wtém nagle dał się słyszeć huk straszliwy, jakby uderzenie gromu. Rozbitkom naszym przypomniła się katastrofa wczorajsza. Był to jednak wypadek daleko zwyczajniejszy, a nawet bardzo zwyczajny w każdej puszczy: stare, odwieczne drzewo obaliło się na ziemię. Zgrzybiały ten kolos, spróchniały oddawna od korzenia aż do wierzchołka, czekał tylko sposobności, ażeby ledz z chwałą po długoletnim, kilkunastowiecznym zapewne żywocie. Sposobności téj dostarczył mu kucharz Poluks, który za grubym pnem, wsparty o niego, zajął był stanowisko obserwacyjne. Ciężar ten wyprowadził olbrzymia z równowagi, a nasz murzyn obalił się z nim razem na ziemię i znikł zupełnie pośród gałęzi drzewa.

(d. c. n).

U OKIENKA.

Wyjrzą z okienka, wyjrzą na świat Boży,
Boć to przecież zima już się tak nie sroży;
Przeminęła zima, słońeczko przygrzało,
I tchnienie wiosenne po świecie powiało.
Już ptaki z zimowej wróciły wędrówki,
Ze snu się zbudziły pracowite mrówki,
I słyszę brzęk muszek, i klekot bociana;
Witajże mi, witaj, wiosenko kochana!

J. P.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

— Zawstydzasz mię, Tolu, swą dobrocią, ale ty zawsze taka jesteś, ufająca szlachetnie i wierząca.

— Ty, Hanko, uczyniłaś mnie taką, twoja to zasługa — odparła Tola — gdyby nie przyjaźń wasza, byłabym może po dawnemu nieufną, i... nieszczęśliwą.

— Więc dobrze, Tolu moja — rzekła Hanka, pomijając ostatnie słowa przyjaciółki — sprzedamy nasze kosztowności, i będziemy miały gotówkę na pierwsze potrzeby, ale gdzie sprzedamy? kto nam w tém dopomoże.

— Dzień dobry — rzekł wchodząc p. Kazimierz — cóż to za żwawa rozmowa się tu prowadzi? — słyszałem przez okno, sadząc drzewka w nowym klombie, ostatnie słowa Hanki: „Kto nam w tém dopomoże”? i o cóż to idzie?

— Ach, wujciu, zjawiasz się zawsze tak w porę — zawołała Hanka — że chyba jesteś jasnowidzącym i wiesz, kiedy nam potrzebny jesteś.

Pan Kazimierz usiadł na krzeselku, i oglądając robotę Toli, rzekł:

— Nasza Terenia nigdy sobie z tém rady dać nie mogła, a w rączkach Toli szybko to jakoś idzie.

— Terenia, wujciu — rzekła dziewczyna, podnosząc z wdzięcznością śliczne swe oczy na p. Kazimierza za nazwanie jej po imieniu — do wyższej stworzona jest praca.

— Każda uczciwa praca jest wyższą, bo każda uzaenia człowieka — odpowiedział p. Kazimierz — a że nie wszyscy jesteśmy jednakowo uzdolnieni, że nie wszyscy w jednym zakresie pracować możemy, to rzecz zupełnie naturalna; bo co-

by się stało w takim razie, gdyby świat cały chciał np. poświęcić się malarstwu? Zatem gdy każdy pracuje jak umie, robi to, czego miał sposobność się nauczyć, spełnia swe zadanie, i praca jego jest wyższą dla niego, bo on tylko na taką zdobyć się potrafi. No, ale o cóż to szło Hance, jakiej potrzebujecie pomocy?

— Tobie, wujciu, muszę zawsze wszystko powiedzieć — i Hanka ze szczegółami opowiedziała, jakie miały zamiary, i co uczynić postanowiły.

Pan Kazimierz słuchał, kręcił wąsy, i czasem uśmiechał się nieznacznie na to, że dziewczęta w spełnieniu swych zamiarów widziały przed sobą przyszłość spokojną i dostatnią. Z czasem postanowiły nawet kupić ten czerwony dom szkaradny, jak mówiła Hanka, bo był duży, posiadał dwa ogromne pokoje, w których właśnie można było urządzić pracownię dla dziewcząt.

— Tylko teraz, wujciu, idzie o rzecz najważniejszą, ani wiemy, kto nam sprzeda nasze medaliony i pierścionki — mówiła Hanka — bo to rzecz wcale nie łatwa.

— O, ja wiem, kto to uczyni — zawołała Tola, biorąc rękę p. Kazimierza, i patrząc mu w oczy z przymileniem.

— Tak, tak, pewnie znów mnie macie na myśli, już to widzę, że rad nie rad muszę zawsze spełniać wasze życzenia i zachcianki — odparł z uśmiechem.

Tola zerwała się z miejsca, wyszła do drugiego pokoju a po chwili wróciła, niosąc spore pudełko i włożyła je w ręce p. Kazimierza, który spojrzał na nią z nieopisanym wyrazem tkliwości.

Hanka przyniosła również swoje kosztowności, a składając je na kolanach wuja, rzekła:

— Ach! gdyby to mogło być jaknajprędzej.

— Naturalnie — rzekł p. Kazimierz — zabieraj się, wuju, w drogę, bierz kij w rękę i jutro dodnia ruszaj do Warszawy. Ha! jak trzeba, to trzeba.

Nie otwierając pudełek schował je do kieszeni.

— Pewnie i listy jakie będą do zabrania? — zapytał:

— Koniecznie, mój wujciu — rzekła Hanka, zarzucając mu ręce na szyję — o jakież ty jesteś dobry, jaki dobry!

— Pamiętaj, abyś przekonania tego nigdy nie zmieniała — wyrzekł poważnie, całując czoło dziewczyny — pamiętaj, że tylko wasze szczęście zawsze mam na celu.

— Czyż można o tém wątpić, mój wuju? — odpowiedziała Hanka.

Na drugi dzień równo ze wschodem słońca p. Kazimierz pieszko, jak zwykle, puścił się do Warszawy, wyprowadzony przez dziewczęta, które mimo, że późno w noc pisały listy, nie zaspaly jednak, aby pożegnać kochanego wujaszka i pomysleć dla niego o śniadaniu.

Hanka zwyczajem swoim zabrała się do krzątania koło maleńkiego gospodarstwa, a Tola sprzątała pokój, w którym pracowały. Praca ta dla nieprzywykłej do niej dziewczyny była dość uciążliwą i męczącą, nieraz ocierała pot z czoła, ale na twarzy jej nieznac było najmniejszego niezadowolenia. Od kilku już tygodni, jak przyjechała do domu p. Wolskiej, pracowała tak codziennie, chociaż z początku pozwoliła na to nie chciała. Ale dziewczyna, całując ręce p. Krystyny i babuni, rzekła:

— Przyjęliście mnie do domu, jak córkę, serdecznie i z otwartymi rękoma, i córką wam będę, dzieląc z wami wszystko, złe i dobre. O! nie odsuwajcie mnie od wspólnej pracy, mniej czuć to będę, żem sierotą na świecie. Przygarbijcie mnie sercem, z jakim ja do was się garnę.

Słowom tym towarzyszyło tak błagalne spojrzenie ślicznych oczu dziewczęcia, w których lzy błyszczały, że p. Krystyna i babunia przycisnęły sierotę serdecznie do piersi, utuliły, ucałowały, i prawie razem rzekły:

— Naszą jesteś, dziewczeczko kochana, od dzisiaj masz prawa córki w naszym domu.

Dziewczę nie poprzestało na tém, zwróciło się w stronę p. Kazimierza, ale ten uprzedził ją, wziął obie jej ręce w swe dłonie i rzekł:

— Wujem twym jestem, Tolu, proszę, uważaj mnie, jak gdybym nim był rzeczywiście.

I od tego dnia nie broniono Toli żadnej roboty, do której się brała, obie z Hanką pracowały szczerze, i z czoła sieroty zniknął zwolna smutek po stracie tak ciężkiej, i uśmiech coraz częściej jawił się na jej ustach. Czas łagodzi najstraszniejsze boleści, a wiara ukoić potrafi każdą troskę i cierpienie. Biedna Tola nie czuła tak bardzo swego sieroctwa, znalazła rodzinę, która ją ukochać i ocenić umiała, znalazła przyjaciółkę, a ta jej słodziła rozstanie z ukochaną siostrą.

Po dwóch dniach p. Kazimierz wrócił z Warszawy, witany serdecznie, a dziewczętom serca były z niecierpliwości, aby jaknajprędzej dowiedzieć się, jaki też kapitał będą miały do rozporządzenia. Och! co to projektów namnożyło się przez te dwa dni niebytności wujaszka, co one marzeń nasnuły we wspólnej gawędce. Pan Kazimierz z podróźnej torebki wyjął kilka listów i oddawał je podług adresu. Tola otrzymała dwa, jeden od Jadwigi, którego oczekiwała z utęsknieniem, drugi od Lenki. Od Tereni były listy do wszystkich prawie z osobna. Na ostatku wyjął wujaszek dość grubą kopertę, i oddając ją dziewczętom, rzekł:

— Oto są wasze pieniądze, możecie być pewne, że targowałem się dobrze, chodząc do kilku jubilerów, aby się o prawdziwej wartości powierzonych mi klejnocików dowiedzieć. W kopercie znajduje się i szczegółowy rachunek.

— Nie mam prawie odwagi otworzyć — rzekła Hanka, biorąc do rąk kopertę — Tolu, zgadnij, ile tam jest tych pieniędzy?

— Sto rubli może — rzekła Tola wahając.

— Niepodobna — zawołała Hanka — tak dużo niema.

— Więc daj, przerachuję — rzekła niecierpliwie Tola, i wzięwszy z rąk Hanki kopertę, zaczęła liczyć pieniądze. — Sto pięćdziesiąt siedm rubli! — wykrzyknęła radośnie.

Hanka schwyciła rękę wujka, do ust ją przyciskając:

— Ależ to skarb, wujaszku, ani myślałam, że my tyle pieniędzy mieć możemy — mówiła zarumieniona od wzruszenia.

— Co my to ślicznych rzeczy nakupimy do naszego magazynu — mówiła Tola — za miesiąc otworzymy pracownię, a później, później, założymy dwa sklepy, bławatny i galanteryjny.

Na tém tle byłaby się rozmowa ciągnęła długo bardzo, gdyby nie listy, które dziewczęta trzymały, spoglądając na nie niecierpliwie i ciekawie, mimo zajęcia się przyniesionymi przez wujaszka pieniędzmi. Babunia już swój kończyła, ręce sędziwej niewiasty drżały, trzymając pismo ukochanej wnuczki, a dla otarcia łez często okulary zdejmować musiała. Hanka z Tolą poszły do swego pokoiku, i każda śpiesznie zabrała się do czytania drogiego listu. I my przeczytamy te listy kolejno, aby się dowiedzieć o losach Tereni i Jadwigi.

List Tereni do Hanki.

Warszawa d. 18 Października 187..

Najmilsza, najukochańsza moja siostrzyczko. Ani potrafię opisać radości, jakiej doznałam wczoraj, ujrawszy wujcia Kazimierza. Dobry, kochany wujcio, tak często robi piesze wycieczki, aby mi przynieść pożądane zawsze wieści o was, ukochani, i nawzajem listy moje, i wszystkie słowa serdecznej tęsknoty, odnieść do domku drogiego. Ach! źle się wyraziłam, już ten drogi domek nie jest naszym, a tego czerwonego, niemiłego budynku, nigdy temu mianem nazwać nie mogę. Hanko moja droga, ani wiem, od czego mam zacząć, zdaje mi się, że tak wiele, tak bardzo wiele przez te parę tygodni od ostatniego mego listu uzbierało się do powiedzenia, że zastanawiam się i myślę, chcąc myśleć to do pewnego ładu przyprowadzić, aby wszystko miało jakiś związek z sobą. Ale pokazuje się, że nic ważnego, nic nowego nie zaszło, to tylko serce moje pragnie podzielić się z wami wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami mego życia.

Wujcio opowiedział mi o waszych zamiarach, i o ofierze, jaką uczyniłyście w pozbyciu się swych pamiątek, aby ze-

brać początkowy kapitał na utworzenie pracowni i sklepiu. Zazdroszczę dobrej, szlachetnej Toli, która mnie w domu waszym zastępuje; ja nie umiałam, jak ona, być pożyteczną w pracy wspólnej, dającej wam chleba kawałek. Ale nie wiem dziś, jak nie wiedziałam wczoraj, czy moja w tém winna? Ty widziałas, Hanko, że pragnęłam naśladować ciebie, bo być taką, jaką ty jesteś, nie potrafiłabym nigdy, lecz i naśladować nie umiałam pracowitej i mądrej mojej siostrzyczki. Może, gdybyście byli mniej dla mnie pobłażliwi, mniej wyrozumiali, byłabym się w końcu musiała wciągnąć do pracy, do której co prawda nie miałam nigdy zamiłowania, ale ty pierwsza, Hanko, spostrzegłaś przygnębienie moje, i ty, najmilsza, przez wujcia, który jak anioł opiekuńczy czuwa nad nami, wprowadziłaś mnie na ulubioną i wypieszczoną w snach mych drogę zdobywania nauki i wiedzy. Mogę się więc kształcić dalej i dalej, bo obowiązki me nauczycielskie zajmują mi tylko pięć godzin dziennie, zresztą czas cały obracam na własną korzyść. Ze pracuję nieraz do późnej nocy, o tém ci i mówić nie potrzebuję, bo nietylko zamiłowanie w naukach, ale i myśl, abym jaknajprędzej mogła być pomocną mateczce drogiej, daje mi moc i siłę. Ach! kiedyż ja grosz mój dołożę, aby mateczka i babunia choć trochę miały wygodę i mniej troski o młodsze rodzeństwo. Dziś mam wprowadzić dwie godziny dziennie korepetycyj płatnych osobno, ale to zaledwie starczy na me potrzeby, bo muszę być zawsze choć bardzo skromnie, lecz przywoicie ubraną.

Kilka dni temu Lenka badała mię delikatnie i zdaleka, czy nie potrzebuję pieniędzy na jakiś sprawunek dla siebie, gdyż trochę zniszczone me okrycie nasunęło jej tę troskę o mnie. Ale nie pozwoliłam jej wypowiedzieć wszystkiego, czułam, że rumieniec twarzy mi pali na samą myśl korzystania z jałmużny niejako, do której tyle tysięcy ludzi większe ma prawo. Widziałam, że Lenka zasmuciła się bardzo, ona tak dobra, tak kochająca, i przykro mi było przez chwilę, że to znaczne serduszko zmarwiłam, ale spostrzegłam w spojrzeniu jej matki, jakie na mnie rzuciła, wyraźną pochwałę mej dumy. Jeszcze tej ostateczności niema, abym przyjmowała wsparcie, prawda, Haniu, że tybys zrobiła tak samo?

Zapytujesz mnie, najmilsza, czy obowiązki me nie są zbyt dla mnie ciężkie i utrudzające. Praca nie jest ciężką, mogłabym ją nazwać największą przyjemnością, gdyby... gdyby te dzieci rozumieć chciały, jak trudnym czynią zadanie nauczycielki brakiem pilności, i postępowaniem czasami więcej niż niegrzecznym. Między memi uczennicami mam cztery tak nieznosne, że użyję tego wyrażenia, iż opisać tego nie potrafię, jak nieraz jestem zmęczoną po przebyciu lekcji z niemi. Nie tracę jednak nadziei, że nadejdzie chwila, w której poznają, jaką krzywdę wyrządzają sobie, ile cierpień tajonych, ile chwil gorzkich przynoszą tym, którzy pragną ich szczęścia i dobra. O! nieraz jest mi bardzo boleśnie, czuję się zniechęconą, ale to tylko na krótko, otrząsam się czempredziej z niemilego uczucia i zwracam do tych kochanych dziewczątek, które są moją radością i dumą. Dobre, pocziwe dziewczeczki, pilne, posłuszne, i pełne delikatnej grzeczności, kocham je serdecznie.

Wyznam ci jednak, Hanko moja, że mi tęskno, o, bardzo tęskno za wami, najdrożsi moi i nieraz zdaje mi się, że porzuciłabym wszystko, aby tylko być z wami, aby choć raz na dzień ucałować ręce matki i babuni, choć półgodziny dziennie porozmawiać z wujciem, a z tobą, siostrzyczko, dzielić prace i trudy krzątania domowego. Jadwinie i Ewcię widzę ciągle przed sobą w postaci dziewczątek ich wieku na całej pensyi. A Kazio, czy też choć czasem mówi o mnie? Kiedy ja się zobaczę z wami? Boże, poco to rozłączać się trzeba, gdy nas dotknie cierpienie, o ileż ono lżejszem jest we wspólnej pracy i miłości. Czy wiesz, że nieraz zadaje sobie pytanie, czy dobrze zrobiłam porzucając dom i rodzinę dla szukania chleba w świecie, kiedy go i między wami mieć mogłam. Ach, Hanko moja, ja jeszcze nie jestem w zgodzie sama z sobą, mam dwie wole sprzeczne, dwa pragnienia odmienne. Nie wspominałam ci nigdy o tém jeszcze, wstydziałam się, a jednak, dziś tak serce moje rwie się do was, że prawie żałuję postanowienia, jakie uczyniłam, aby się oddać

tylko nauce. Dlaczego ten wujcio dobry i rozumny nie powie nigdy stanowczo: tak będzie lepiej, tak uczyni. Czy ty zauważyłaś to, Hanko, że wola nasza nigdy krępowana nie była, ani mateczka, ani babunia nie przymuszały nas do niczego, czuвано nad nami, to prawda, ale kierowano tak zawsze, abyśmy same stanowiły o pracy swój i obowiązkach. Mnie teraz dopiero przychodzi to na myśl, gdy przebiegam krótkie jeszcze, a jednak pełne zdarzeń życie nasze. Pamiętam, jak mateczka nakłaniała mnie do pracy ręcznej, ale z jakąż to czyniła łagodnością, czy prawda, Hanko?

I teraz, to wyrwanie się moje z kółka rodzinnego uwzględnione zostało, spełniły się me najgorętsze życzenia, a jednak, nie zawsze jestem zadowolona ze swego wyboru. Pierwszy raz przyznaję się przed tobą do tego, nawet coprawda zasiadając do listu nie miałam zamiaru pisać o tem, nie chciałam cię niepokoić, ale tak jakoś nie chcąc wypowiadałam ci wewnętrzny stan mej duszy, nie mów tylko nic mateczce ani wujciowi. Smutno mi w tej chwili, smutno i tak tęskno do was, że łyżę cisną się do oczu. Ale jakże jestem niedobra, zasmucam twe serce, będziesz się znów martwić o mnie, moja dobra, kochana siostrzyczko. Więc proszę cię, nie uważaj na tych kilka słów skargi, która dzieciom tylko przystoi, my powinniśmy być silne i wytrwałe, to twoje słowa, Hanko, mam je zawsze w pamięci, choć czasem zdaje się, jakoby o nich zapomniana. Niepokój ten wyradza się pewno w mej duszy z żalu, że jeszcze niczem pomocną matce i rodzinie być nie mogę, podczas gdy ty, Hanko, jesteś podporą domu, i pracą swą zapewniasz byt niezależny tym, którym wszystko winni jesteśmy. Wujcio opowiada mi zawsze, jak jesteś czynna, jak niezmordowana, a przytém swobodna i wesoła nawet, a wyraża się o tobie nie tylko z miłością, ale i z szacunkiem. Tola wyrównywa ci podobno, i wszyscy tam pracują i krzątają się, nawet młodsze siostrzyczki i Kazio dzielnie pomagają wujciowi przy zakładaniu ogródka i sadzeniu drzewek, tylko ja jedna zdala od was jestem...

Ale dość tego, daruj mi, Haniu, słowa niebaczne, zapewniam cię, że to tylko chwilowe jakieś rozdrażnienie, które nie powtórzy się więcej.

Serdeczne śię ci uściśnienie.

Twoja zawsze Terenia.

Po przeczytaniu tego listu, Hanka zamyśliła się smutnie, i łyżę błysnęła w ciemnym jej oku. Spojrzała na Tolę, na twarzy dziewczęcia malowała się radość niewysłowiona, na ustach ukazał się uśmiech zadowolenia. Składała list swój, złożwszy na nim serdeczny pocałunek, a zwracając się do Hanki, rzekła wesoło:

— Jadwinia przysłała ci tysiąc całusów, czy chcesz przeczytać list jej?

Lecz w tej chwili spostrzegła smutną twarz Hanki, zbliżyła się więc do niej szybko, i zapytała z niepokojem:

— Co się stało, Hanko?

— Nic, moja droga, masz, przeczytaj list Tereni — rzekła Hanka, podając Toli list siostry — a ja przeczytam, co pisze Jadwinia.

Zamieniły listy, i znów pograżyły się w czytaniu.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Dla Wiochny od Łani).

Tam w drugim trzecim pierwsze trzecie leży,
Co to za wyraz, odgadnąć należy.

Wszystko jest miejscem mojego mieszkania.
Tę szaradę dla ciebie ułożyła Łania.

Łamigłówka gwiazda (Anonim).

. . .
. . .
. . . O . . .
. . .
. . .

Ułożyć w kształcie gwiazdy ośm wyrazów czterogłoskowych, zaczynających się od środkowej litery O. Końcowe litery utworzą nazwisko sławnego uczonego Polaka. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Syberii. 2. Rzeka w północnej Ameryce. 3. Część twierdzy. 4. Części wozu. 5. Gatunek psa. 6. Część ciała u zwierząt. 7. Wyraz oznaczający dawne czasy. 8. Przyimek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Szarady:

Mu — zy — ka.

Łamigłówki zgłoskowe:

Koszatka — Mak — Ilmen — Circe — Izmael — Ciepło.
Kmicie — Oleńka.

(Z powieści Sienkiewicza „Potop”).

Łamigłówki głoskowe:

Lenartowicz.

TREŚĆ: Z życia owadów, nowa zdobycz przemysłu. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — U okienka wierszyk p. J. P. (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Zajac (wiersz) p. Z. Morawską. — Balik (z drzew.) — Indy i wróblek. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów.
Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuskiego.



B A L I K.

Z A J Ą C.

Szedł z lasu chłopczyzna, niosąc chrustu brzemie,
Wtém ujrzał zajączka, co pod krzakiem drzemie.
— A toż mi to gratka, doprawdy nielada,
Zajączek śpi sobie i nie wie co zdrada;
Łatwo go ułowią, ot, kijem uderzę.
Zaniosę do domu, będę miał wieczerzę.
Skórę zeń ociągnę i sprzedam żydkowi,
Oj będzie złotówka, gdy zając się złowi —
To mówiąc chrust rzucił, do krzaka przymyka,
Lecz zając się zbudził i w pole umyka!
A chłopiec też za nim; héj, hajże przez pole.
Dech w piersi mu ustał, lecz bieży pacholę,
Nie pomnąc, że zając, tak chyży w swym skoku,
Posunął po śniegu i zniknął gdzieś z boku!
Ni śladu zająca! Stanął więc chłopczyzna,
I wreszcie do drogi powracać zaczyna.
— Zabiorę choć drzewo, do chaty już blisko,
Nie będzie pieczeni, to będzie ognisko —
Pociesza się chłopiec, wracając po chrusty.
Lecz chrustu nie znalazł; pod krzakiem plac pusty.
Ziębnięty i głodny powrócił do chaty,
Załużąc i trudu i drewek swych straty.
A zając nauką był w życiu mu całém,
Że szczęściem największem jest przestać na małym.

Z. Morawska.

Misia chciała wyprawić pyszny balik dla swoich laleczek, a miała ich pięć, nazywały się: Flora, Malwina, Irena, Laura i Palmira. Żeby laleczki się nie nudziły, Misia zaprosiła na balik kotkę Filunię z całą rodziną. Filunia miała pięciu synków, Kizia, Mizia, Lizusia, Murzynka i Maciusia, wychowywała ich bardzo starannie, a prowadząc na balik, dawała im nauczki i prosiła, żeby się grzecznie i przyzwoicie sprawowali. Misia rada była niezmiernie swoim gościom, posadziła wszystkich naokoło stolika, przy każdej laleczce umieściła jednego kotka, nakoniec usiadła sama. Filunia obiecała zaśpiewać i zagrać, żeby było weselej. Na stoliku ustawiła Misia mnóstwo przysmaczków, ciasteczek, pierniczków, była i czekolada i różne inne dobre rzeczy.

Ale patrzcież, co się stało! Na obrazku możecie to wszystko obaczyć. Kizio wpakował głowę Flory w próżną filiżankę, a sam swoją wyciągnął do Misi, napierając się czekolady. Mizio wywrócił dzbanuszek z mlekiem i oblał biedną Malwinę, Murzynek tak popychał Irenę, że Misia musiała ją wziąć na ręce, bo byłaby na ziemię upadła, wszyscy razem podstawiali swoje filiżanki i Misia rady sobie z nimi dać nie mogła.

Ale najokropniej się spisał Lizus. Zabrał ze stolika mnóstwo ciastek, pierniczków, co tylko mógł unieść, nie-szczęśliwą Palmirę zepchnął z krzeselka na podłogę i uciekł. Filunia zaczęła płakać ze wstydu i zmartwienia, że takie niegrzeczne ma dzieci, a Misia pewnie już drugi raz nie zaprosi psotnych kociaków na balik.

INDYK I WRÓBELEK.

— Próżniaku! darmożjadzie! a pójdzże! — tak wołał z gniewem indyk w języku ptasim na małego wróbelka, za to, że ten schwycił parę ziarenek, posypanych przez gospodynię na dziedzińcu folwarcznym. Wróbelek odskoczył w bok, ale nie bardzo się nastraszył tego krzyku i zaświegotał do indyka:

— Czego się wielmożny pan indyk tak gniewa, czy to tu mało ziarna, a ja przecież dużo nie zabiorę, troszeczkę się tylko posilę; zmęczyłem się strasznie, budujemy gniazdo z moją żoną, bo już czuć wiosnę, trzeba się dobrze zabrać do roboty.

— Weźmiesz sobie parę ziarenek — rzekł indyk, już trochę udobruchany — ale poczekaj, niech ja się wprzód najem. Nie mogę się przecież tak pospolitować, żeby jeść razem z tobą; co ja, to nie ty.

— O, ja to wiem dobrze, wielmożny panie indyku, ja sobie prosty wróbelek tutejszy, a pan podobno z dalekich zamorskich krajów pochodzi. Toż i gospodyni umie pana indyka szanować, zawsze mu pełną garścią sypie ziarno. O mnie nigdy ani pomyśli.

— A widzisz — mówił indyk, nadymając się z dumą — znają mnie wszyscy i szanują; bo to ja widzisz pochodzę ze znakomitego cudzoziemskiego rodu, z takiego kraju, o którym ty nawet nie słyszałeś nigdy.

— A z jakiego? ach, żeby to pan indyk był łaskaw opowiedział — rzekł wróbelek, udając wielką pokorę; umyślnie wyciągał indyka na słówka, choć wcale nie był ciekawy, z kąd on tam pochodzi, bo myślał sobie, że jak się rozgada o swojej wielkości, to nie będzie uważał na nic, a on tymczasem ziarnko po ziarnku schwyci mu z przed nosa.

— Moja ojczyzna jest bardzo daleko — mówił indyk — za szerokim morzem, za oceanem, na drugim końcu świata.

— A! to może tam, gdzie jaskółki lecą na zimę?

— Ale gdzieżby tam jaskółka zaleciała! Tam nawet ludzie swojemi okrętami nie mogli dopłynąć, aż jeden znalazł się taki odważny, nazywał się Kolumb...

— Aha! to pan indyk z Ameryki pochodzi! — przerwał wróbelek i dziobnął aż trzy ziarnka na raz.

— A ty to z kąd wiesz? — spytał indyk.

— Oho! czy to ja nie słyszę, jak siedzę czasem na dachu i do okien zaglądam, co tam dzieci na lekcji swojej powtarzają. O tym Kolumbie, co Amerykę odkrył, tak często mówią, że i my wróble na dachach o tém świegocemy. Ale jakże to pan indyk mógł z Ameryki przylecieć, przez takie morze szerokie? nie widziałem nigdy, żeby pan latał, nawet nieraz sobie myślałem: poco też ten pan indyk ma takie duże, wspaniałe skrzydła, skoro nie umie latać?

— Bo ja, widzisz, latać nie potrzebuję i nie lubię, wolę biegać; latanie nie przystoi ptakom szlachetnie urodzonym, pospółstwo tylko lata, wróble, jaskółki, skowronki, ale gdzieżby tam indyk latał — i mówiąc to nadął się i kiwał nosem z wielką powagą.

— A to jakże pan indyk dostał się aż z Ameryki do naszego kraju? — pytał wróbelek.

— No, ja się już tu urodziłem, i ojciec mój także, i dziad, i pradziad. Kiedyś, bardzo dawno, mojego prapra-pra-dziadunia ludzie okrętem przywieźli z Ameryki. Słyszałem to od mojej mamy, a jej mówiła babcia, tamtej znów prababcia. Babcia opowiadała bardzo ciekawe historye, jak to tam nasi bracia indyki żyją na stepach amerykańskich, czasem w ogromnych lasach, jak podróżują gromadami, przepływają rzeki, a nigdy nie mieszkają po takich ciasnych kurnikach, jak my, i nie znają ludzi.

— I pocóż to pański prapra-pra-dziadunio tu przyjechał do Europy? — spytał wróbelek.

— On nie miał wielkiej ochoty jechać, ludzie go zabrali, bo nie mieli tu w Europie tak wspaniałych ptaków i wstyd im było żyć tylko z nędznymi wróblami, jaskółkami i inném pospółstwem tutejszém — i znów się nadął i nosem kiwał z wielką dumą.

— Upadam do nóg — rzekł wróbelek — żona na mnie woła, trzeba jej tam w czemś pomódz przy budowie gniazdeczka — i pofrunął, bo już wyjadł wszystkie ziarna, a spotkawszy się z żoną opowiedział jej o indyku i śmiał się z jego pychy.

— Żebyś wiedziała, duszko — mówił — jaki on jest zabawny; zdaje mu się, że ludzie go sprowadzili dla tego, że on wspaniale wygląda, a gospodyni przez wielkie uszanowanie sypie mu ziarno. Wiem ja dobrze, za co oni go tak szanują i pielęgnują, widziałem kiedyś przez okno, jak kuchcik obracał na różnie takiego indyka, oskubanego zupełnie z pierza. Pomyślałem sobie wten czas: jak to dobrze, że ja jestem taki niepozorny, mały, chudy, nikt się na mnie nie złakomi.

— No, no, cicho już, gaduło — zaświegotała wróbelczka — pomóż mi pozbierać ten mech, bo mi potrzebny do wysłania gniazdka.

I oboje zabrali się żwawo do roboty.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

Byliby wszyscy bardzo zadowoleni i szczęśliwi, gdyby nie ta niezgoda trzech braci królewiczów. Nigdy wprawdzie się nie sprzecali, zapewne przez uszanowanie dla dostojnego monarchy, u którego byli w gościnie, nie zbliżali się jeden do drugiego, nie rozmawiali z sobą, a widok takiej obojętności pomiędzy rodzonymi braćmi przykreść wielką sprawiał patrzącym. Król Dobromir, który był zazwyczaj bardzo wesół, teraz posmutniał, rzadko kiedy się uśmiechnął, królowa Miłostawa wdychała, wiążąc złotą siatkę, a i królewnom często ładne twarzyczki się przeciągały. Tylko Abrakadabrus nie tracił humoru, bacznie spoglądał na królewiczów, a potem kiwał mądrą głową, brodę gładził i uśmiechał się nieznacznie. Królowy co wieczór naprzykrzały mu się zapytaniem, co to wszystko znaczy, on zawsze odpowiadał toż samo:

— Jest w tém tajemnica, ale cierpliwości, ja to po maleńku wysłędzę, a może i poradzę.

Królewny tak ufały mądrości swojego mistrza, że pocieszały się, usłyszawszy te słowa i cierpliwie czekały wyjaśnienia tajemnicy, a tymczasem bawiły się i tańczyły wesoło z królewiczami.

Sprawdziło się w końcu to, co wszyscy przeczuwali odrazu. Pewnego rana król Dobromir siedział sobie w swą komnacie na purpurowym fotelu i nakładał fajeczkę z przepysznego złocistego kapciucha, wyszywanego prawdziwymi perłami. Był to podarunek królewien, wszystkie trzy razem wyszyły mu ten piękny kapciuch na imieniny. Bo królowa Miłostawa bardzo rozumnie wychowywała swoje córki, Abrakadabrus wykładał im różne mądre nauki, lecz ona sama uczyła je robót kobiecych.

Nałożył tedy król Dobromir fajeczkę, wykrzesał ogień krzesiwem i pociągnął z cybucha raz i drugi, gdy wbiegł paź i oznajmił, że królewicz Kryszałek o posłuchanie prosi. Król skinął ręką na znak przyzwolenia i po chwili wszedł królewicz Kryszałek, a za nim dwóch dworzan, dźwigających skrzynkę szczerozłotą. Postawili ją na marmurowym stoliku i wyszli w milczeniu, a królewicz Kryszałek uklonił się aż do ziemi przed Dobromirem i w mowie ozdobnej a wytwornej prosił go o rękę pięknej jego córki, królewny Iskierki.

Potém, nie czekając odpowiedzi, otworzył skrzynkę złotą i zaczął rozkładać na stole wspaniałe klejnoty, które chciał królewnie ofiarować w darze, jeśli dostojny ojciec na to zezwolić raczy. Król Dobromir znał się na klejnotach i niemało ich w życiu widział, sam też niegdyś małżonce swojej Miłostawie ofiarował bogate dary, a jednak aż mu się w oczach zaćmiło, gdy ujrzał to wszystko, co królewicz Kryszałek rozkładał na stole, marmurowym. Taki blask bił od tego, że aż w komnacie zrobiło się jaśniej; słońce świeciło wprost w okno i padło na te wspaniałości, a wszystko to zaraz zamigotało tęczowymi barwami, sypało iskrami i błyskawicami, Dobromir musiał oczy przysłonić ręką, żeby nie oślepnąć. Były tam drogie kamienie najrozmaitszych gatunków, najpierw brylanty ogromne, i przezroczyste, jak liza, i żółtawe, i różowe, i ciemne, jakby okopcone. Potém kamienie inne różnobarwne, purpurowe rubiny, żółte topazy, niebieskie turkusy, fioletowe ametysty, zielone szmaragdy, szafiry ciemno-błękitne, wszystko w złoto oprawione; tylko pereł i koralu nie było ani śladu wśród tego mnóstwa rozlicznych klejnotów. Zauważył to król Dobromir, a wiedział on już o tém także, o czém wszyscy na jego dworze szeptali, że każdy z trzech synów króla Bożydara szczególniejsze miał jakieś upodobanie do jednego z królestw przyrody: Kryszałek do minerałów, Zielonko do roślin, Pióropuszek do zwierząt.

Tymczasem królewicz Kryszałek, rozłożywszy swoje dary, stanął w korniej postawie przed królem Dobromirem, bo sądził, że już dość czasu miał do namysłu i przecież mu coś odpowie. A biedny Dobromir w prawdziwym był kłopotcie, sam nie wiedział, co robić. Urodziwy młodzieniec podobał mu się bardzo, a wiedział, że i kochana jego Iskierka mile na niego spoglądała, lecz ta niezgoda, ta dziwna niezgoda między braćmi, niepokoiła go strasznie. Myślał, myślał, potrząsał głową, chwycił się za brodę, to znów ręką o czoło uderzał, aż w końcu

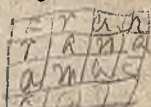
wymyślił doskonały sposób: nie odmówił Kryszałkowi i nie przyrzekł mu ręki królewny, lecz prosił, żeby poczekał dni kilka, bo on musi się wprzód naradzić z królową Miłostawą. Nie wspomniał nic o tém, że zamierzał wezwać także na tę naradę mistrza Abrakadabrusa, który go już nieraz swoją mądrą głową z różnych kłopotów wybawiał.

(d. c. n.)

Lamigłówka w kwadraciku.

(Od Różycki dla Jasia z Wierzbicy).

W kwadraciku z 16 podziałek ułożyć: 6 A—1 F—2 K
2 M—1 N—3 R i U—aby odczytać w obu kierunkach:
1. Strój męski. 2. Ozdoba obrazów. 3. Rzeka w Azji.
4. Rzecz przykra.



ROZWIĄZANIE DO N-ru 14-go.

Zagadki:

Potop.

Skrzynka do listów.

Słomka trafnie odgadła, **Zania** i **Różycka** polna są to też same dwie siostrzyczki, które z nią zimę spędziły w Meranie. **Słomeczka** kochana ślicznie pisze, winszujemy jej tak ładnej kaligrafii.

Konwalię z nad Wisły przepraszamy z wielkim wstydem. Możnaby do nas zastosować przysłowie: „Kocięł garnkowi i. t. d.” często bowiem strofujemy korespondentów za różne roztargnienia, a sami z tegoż samego powodu zapomnieliśmy dodać przy zadaniu konkursowem, że tylko dzieci do lat 10-ciu należąc do niego mogą. Mamy już **Konwalię z nad Wisły**, więc radzimy **Konwalię** zmienić pseudonym.

Czczotka trafnie rozwiązała **lamigłóvkę**.

Kukułce i Bociankowi z nad Sanny dziękujemy za rubla przysłanego dla biednych.

Blondynka z Cieszyna nigdy się nam nie naprzykrzy najdłuższymi nawet liścikami, tém bardziej, że pisze wyraźnie i porządnie. Za tłumaczenia z niemieckiego dziękujemy, mało w ogóle zamieszczamy przekładów i mamy do tego stałych współpracowników.

Psonica wcale nie jest w naszej redakcji zapomniana, cieszymy się, że ze swą stroną o nas pamięta. Dodawanie adresu i lat nie jest potrzebne przy liścikach zwyczajnych, tylko przy odpowiedziach na zadania konkursowe i wówczas należy to wszystko wypisywać na tym samym papierze, a nie na osobnych karteczkach, które się łatwo zarzucić mogą.

Jedłę z wielką przyjemnością zaliczamy do stałych korespondentek, bo śliczną kaligrafią pisze. **Lamigłóvkę** wydrukujemy, ale troszkę później. Żeby to kochana **Jodla** zobaczyła, jakie nam stosy tych **lamigłówek** nadsyłają.

Kot i Koteczka języka kotów nie znają! To rzecz niepojęta! **Czarnulce** dziękujemy za szarady, są dobre i będą drukowane. **Perełka** raz tylko jeden pisała do nas i nie doniosła, jak ma na imię.

Orla z nad Wisły prosimy o cierpliwość, jeśli odpowiedź na zadanie przysłana była bez żadnego liściku, nie mogliśmy dawać odpowiedzi, a wymieniać wszystkich, którzy rozwiązania nadsyłają, niepodobna dla braku miejsca.

Panu B. D. odpowiedzieć tylko możemy, że zagadek nadsyłają nam więcej, niż pomieścić zdołamy, a rękopisów mamy także zapas dostateczny, na niewidziane zaś przyjmować takowych w każdym razie niepodobna.

Mimoza niewymowną sprawiła nam przyjemność miłym listkiem, budzącym drogie wspomnienia lat dawnych i dawnych przyjaciół. Bratu i mamie serdeczne przesyłamy pozdrowienia,

Oleńca ze Żmudzi. Atlasów polskich wskazać możemy dwa, Herknera większy rs. 2, 25 Kozenna mniejszy rs. 3. Mapa Królpol, Nipanieza rs. 3, naklejona na płótnie z teczka rs. 5 werniksowana, na wałkach rs. 7 50. Historia Rosyi może być za rs. 1 a także za 25 kop. Ceny podane bez kosztów przesyłki.

Apollo, zwolennik śpiewu i muzyki, bardzo miłym będzie dla nas korespondentem.

Cyganek z nad Noska prosimy, ażeby przysłała kogo do redakcyi naszej po ów zagubiony Nr. zesłoroczny. Jeżeli jeszcze się znajdzie, to go z pewnością dostanie.

Wytrwałość znalazła już w samém piśmie odpowiedzi na wszystkie swoje pytania i zapewne jest zadowolona, że nawet i język kotów powiodło jej się odgadnąć trafnie. Jaka szkoda, że odgadnięcie to wcześniej nie nadeszło.

Pszenicę najchętniej zaliczamy do grona korespondentek. Ale niech kochana Pszenica nałame trochę główkę, i lepszą łamigłówkę dla koleżanki Jerzynki ułoży, bo nazwisko wielkiego wodza pisze się Czarniecki, a zestawienie go z autorem bajeczek niezbyt stosowne.

Od pani Stanisławskiej z Iliniec otrzymaliśmy 50 kop. dla ubogich.

Wielkopolanka burdzo mylnie wyobrażenie mieć musi o naszej redakcyi, skoro może przypuszczać, że się na nią pogniewa za jej zapytania. Najchętniej zawsze udzielamy kochanym korespondentom wszelkich objaśnień. Styl *rococo* w budownictwie był wprowadzony w wieku XVII, cechą jego jest nadmiar ozdób, często niesmacznych. Dziś i meble z podobnymi ozdobami, gzemsikami, kręconymi słupkami, nazywają *rococo*. Utwór dramatyczny, o który zapytuje Wielkopolanka, jest czemś pośredniem pomiędzy komedią i dramatem, grywany był na scenie warszawskiej w oryginalnie francuzkim przez Sarę Bernard, a po polsku przez Modrzejewską. Łamigłówkę później trochę wydrukujemy, Ukrainka na Mazowszu ma imię matki Najświętszej Panny; jest starsza o rok od Wielkopolanki.

Szczebiotka nadesłała trafne rozwiązanie łamigłówki.

Maryni z pod Kłajpedy powinnować można, jedna tylko korespondentka oprócz niej odgadła także język kotów, ale obie się spóźniły.

Orzeł z nad Niemna nadesłał parę łamigłówek, lecz musi poczekać na ich umieszczenie, bo teraz brak miejsca.

Motylek z nad Sekwany musiał już teraz zmarznąte skrzydełka rozwinać, i cieszy się wiosenką. Cierpliwości, kochany Motylku, łamigłówki zamieścimy.

Szczygła z nad Giełczwi żał nam bardzo, że musi iść do klatki ale cóż robić, niepodobna być dzikim Szczygiełkiem.

Niezapominajka z nad Horynia wyobrazić sobie nie może, jaki to czasem ciężki kłopot dla redakcyi, gdy nadejdzie mnóstwo drobnych wypracowań, które zarazem i wielką nam zawsze radość sprawiają, a tu jedną tylko wydrukować można i nagrodzić. Ale czemuż to Niezapominajka nie chce należeć do zadań Kazia, który zawsze nam umie wydrzeć kilka nagród. Bławatka ma lat 9, nazywa się Marynia, mieszka w Piłkach.

Gołąb z Zielnej trafnie odgadł łamigłówki.

Puszczek rozradował nas owym motylkiem, który fruwa w nałódku listu, miły to bardzo zwiastum wiosny. Przesyłka jeszcze nie spóźniona.

Zawierucha miał odpowiedź na swoje listki, jedną na dwa, bo razem prawie nadeszły. Kaziowi niezmiennie pochlebiło zdanie o nim Kolegi Zawieruchy, przesyła mu serdeczne pozdrowienie.

Burzy i Błyskawicy zasyła pozdrowienia kolega Zawierucha.

Lew powinnowy do innych swoich przymiotów dodać trochę cierpliwości. Odpowiedzi na listki z różnych ważnych powodów muszą się cokolwiek opóźniać. W powieści „Prawdziwe bogactwo“ nie występują wszystkie osoby z Reginki, tylko główniejsze, natomiast wprowadzone są nowe. Kazio upewnia, że uczucom kolegi Lwa nie dziwi się wcale i lwia jego łapkę przyjaźni ścika. Szaryady później będą drukowane.

Trzcinka na swój wiek pisze dobrze, wyraźnie i czysto, to zupełnie wystarcza, aby mogła z nami korespondować. Niechże kochana Trzcinka o nas nie zapomina.

Topolke upewniamy, że w listku jej nie było ani jednej omyłki, niema więc co krytykować; jeśli go bez pomocy pisała, to wcale nie znać, iż niedawno po polsku się uczy.

Prymulka biała wraz z wiosną do nas zawitała, witamy ją serdecznie i prosimy, aby o nas pamiętała przez rok cały. Łamigłówki umieścimy, ale nie zaraz.

Smok latający dobrze robi, że dla wprawy tłumaczy powiastki z obcych języków, ale nam one przydać się nie mogą, bo mamy do tego starszych współpracowników stałych.

Jodełkę z nad Wisły witamy w gronie korespondentek. Jak to ładnie, że Jodełka pisze dużemi, wyraźnemi literkami, chociaż już małym dzieckiem nie jest.

„Perełce dziękuję za pozdrowienie i zapytuję, jak jej na imię, gdzie mieszka, ile ma lat. Donoszę, że mi na imię, jak matka Leszka Białego, mam lat 11, mieszkam w Krakowie, Czarnulka“

„Kochana Ukrainko! Oddawna już pragnę się z tobą zapoznać. Ja noszę imię matki pierwszego cesarza chrześcijańskiego, mam lat 15 uczę się w domu, siostrzyczka Wielkopolanka“

„Kochana Bławatko z nad Horynia! Z twego pseudonymu zaraz się domyśliłam, że blisko mnie mieszkasz. Ja mam lat 12 nazywam się Genia, mam dwie młodsze siostrzyczki Stasię i Amelię, braciszka Lucia i kuzynkę Manię. Choć mieszkam blisko Sławuty, w Białogrodzie, w kościele tam nie byłam. Ściskam cię serdecznie

Niezapominajka z nad Horynia“

„Kochana Lilijko z nad Horyni! Chciałabym się z tobą bliżej poznać. Napisz mi, ile masz lat i jak ci na imię. Polecam się twój przyjaźni,

Niezapominajka z nad Horynia“

„Kochany Słowiku z Hożej! Dziękuję ci bardzo za twój list, ucieszyłem się nim niezmiernie, bo to był pierwszy otrzymany przez Wieczory. Donoszę ci że mam lat 14, nazywam się Edward, jestem uczniem 3ciej klasy.

Twój Gołąb z Zielnej“

„Kochana Chmureczko! Twój pseudonym bardzo mi się podoba, chciałabym się z tobą przynajmniej listownie poznać. Ja mam lat 10, nazywam się Marynia, mam siostrzyczkę i dwóch braci. Odpisz mi,

kochająca Kawka z nad Wisły“

(Chmurka nazywa się Helenka, o dwa lata starsza jest od Kawki przyp. red.)

„Kochana Kropelko Rosy! Niezwykła twoja nazwa bardzo mi się podoba. a będąc Stokrotką, chcę znajomość z tobą zabrać. Mnie na imię Wandzia, mam lat 11, mieszkam w Krakowie i uczę się w domu. Mam dwóch braci i siostrę. Młodszy mój brat Adaś pisuje do Wieczorów i nazywa się Smok latający. Twoja Stokrotka różowa (z Krakowa).

(Stokrotki prosimy o zmianę pseudonymu, bo mamy korespondentkę dawniejszą Stokrotkę różową. przyp. red.)

P. Poziomski w Piłkach Żądana książka kupiona i wysłana pozostały zaś z 3 rs. 1 rubel oddany ubogim nie mogącym pracować, na święta.

P. Bieńkowski w Kamieńcu Podolskim. Książki żądane wysłano, z dwóch rubli pozostało reszty kop. 52 1/2

P. L. Cho... w Krakowie Należy się nam od pani kop. 14 za list na koszt redakcyi przysłany z żądaniem zmiany adresu. Kartka otwarta kosztowałaby panią tylko 3 kop. my zaś kosztów podobnej korespondencji ponosić nie możemy, tém bardziej, że już sama zmiana adresu stanowi dla nas wydatek, który w innych redakcyach słusznie zaliczany jest na koszt prenumeratorów.

Do wszystkich. O Nra. nieodebrane z poczty należy się upominać zaraz po nadejściu Nru następnego, powtarzaliśmy to już nieraz; tymczasem często otrzymujemy po kwartale lub nawet po roku reklamacye podobne, którym z powodu wyczerpania Nrów zadość uczynić nie możemy. Uprowadzamy więc raz jeszcze, że tylko ci prenumeratorzy mają prawo do bezpłatnego powtórzonego wysłania nieodebranych z poczty Nrów, którzy się w porę o nie upomną.